Należytość pocztowa uiszczona ryczałtem

PISMO MŁODYCH RUCHU AGUDAT HANOAR HAIWRI „AKIBA"

CEIRIM

ROK 6 **TOM II** **NR. 7**

22 Szwat 5696 **KRAKÓW—LWÓW—WARSZAWA** 15 Luty 1936

ABONAMENT KWARTALNY Zł. 1.— CENA EGZEMPLARZA 30 gr

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW, Wielopole 24 — Tel. 144-58.



»Żółty pan« Sahary
(do art. »W Zoo«)

STARA PIEŚŃ ANGIELSKA:

w opracowaniu R. Kiplinga)

„Wesoło śpiewaj, ptaszę małe!
Śpiewaj tak słodko i donośnie!
pieśń twa niech Stwórcy głosi chwałę!
Bóg jest wysoko, gdzie gwiazd strzały,
tam, gdzie złociste słońce rośnie!
O pożywienie twe, mój mały,
dawno się starał dobry Bóg
i daje ci je w złotej wiośnie,
ażebyś się nasycić mógł!
Pocóż więc dąsać się żałośnie
przeciw wyroków bożych chwale?
czemuż twa główka wciąż się stara
odgadnąć, czemu dobry Bóg
nie zrobił cię człowiekiem — ale
że z ciebie jest ptaszyna szara?



MIŁUJMY ZWIERZĘTA

Spojrzały raz na mnie dziwne oczy. Duże, myślące. Jakiś żal się tlił w głębokich źrenicach, jakiś smutek wyzierał spod nawpół spuszczonych powiek, a tęsknota jakaś niewysłowiona rwała się z nich, rwała ku mnie, rozpłomieniała się... — a potem zgasła nagle i w miejsce jej przyszedł większy jeszcze żal, przyszła cięższa jeszcze mgła smutku — i niemą jakąś rezygnacją przesłoniły się oczy. Potem powoli opuściły się na nie powieki, łeb opadł na przednie łapy — i znów przedemną leżał pies. Takie sobie wolne psisko, co całemi dniami ugania po podwórzu z wywieszonym jęzorem, ze swawolnym błyskiem w ślepiach, ze spuszczonym ogonem, albo dyndającym na wszystkie strony, w takt podskoków zwinnego ciała.

Doś było jednak tej małej chwili, by mądre spojrzenie przedarło się do mego wnętrza, i utkwiło w niem — nazawsze. Dość było tej przelotnej chwili, by przemówił do mnie niemy, a tak jednak wymowny wzrok!

— Znów trzymali mnie na uwięzi cały dzień — mówiły wierne psie oczy. — Znów skowytałem z głodu i marzłem bez słomy w budzie. Wy ludzie myślicie, że tylko wam dano czucie, że tylko

was boli krzywda i tylko wy umiecie cierpieć. Że myśmy są bezduszne stworzenia, bez czucia — bez serca. A przecież żyjemy, jak wy, przecież i my własny świat mamy, i w naszych żyłach płynie żywa krew. Pod dziką zaniedbaną sierścią bije też serce — wierne, psie serce, ciepła pragnące i miłości. Gdzież są wasze ludzkie uczucia, gdzież dobroć i wrażliwość, którą obnosicie się z taką dumą? Cały nasz ród zniewoliliście, całe nasze życie wprzęgliście w swoje usługi, a my wierni wam — tylko ciepła żądamy. O, pogłaskaj mą dziką, zszarganą sierść, pokaż, że nietylko gnębić umiecie, ale wdzięczni być i dobrzy też.

Przemówiły do mnie proste, pełne wyrzutu oczy i nauczyły wielkiej prawdy

że zwierzęta czują, jak człowiek, że swą ciężką pracą i niezłomną wiernością zasługują na miłość i opiekę troskliwą, że nie wolno nazywać siebie „dobrym człowiekiem", póki krzywdę wyrządzamy zwierzętom.

I ilekroć widzę, jak koń, sam jeden, ciągnie naładowany wóz, i posłyszę trzask biczyska, zlatującego na strudzony grzbiet — stają przedemną wierne, psie oczy. A gdy dziecko w naiwnej zabawie drze kota za ogon i bure oczy drgają w bojaźni — chciałbym opowiedzieć mu wszystko, co mówiły smutne psie oczy i nauczyć je tej prawdy, jaką w jednem spojrzeniu poznałam. I nie pozwolę zabijać ptaszków, ani niszczyć im gniazd, lub jaja wykradać, czy pisklęta zabierać. I nie dam łapać motyli, choć małe są i nieznaczne, bo przecież i tak krótko trwa ich życie. I nie zgodzę się, byśmy byli tyranami, byśmy znęcali się i czyjeś cierpienie znosili spokojnie.

Nauczmy się wszyscy, że tak jak boli krzywda, nam wyrządzona, tak musi boleć nas każde cierpienie żyjącemu stworzeniu sprawione.

Stańmy się ludźmi dobrymi, którzy krzywdzie walkę wypowiedzieć muszą!

Towa.

BOGATE JEST ŻYCIE ZWIERZĄT

Bogate, a jednak nieznane. Nieznane, a bardzo nam bliskie. Mur chiński przesądów oddziela życie człowieka od istot, stojących na niższym stopniu rozwoju — a jednak walczących o życie, podobnie jak i on. Kto zaś uczyni krok jeden i wkroczy w tajniki przyrody — a zechce patrzeć uczciwie — zobaczy rzeczy ciekawe — a, gdy zechce zrozumieć, przekona się, jak mu w rzeczywistości świat ten jest bliski

Gdy posiadasz zbyt mało odwagi — wejść śmiało w naturę —

możesz to życie w teorji poznać, nawet przy biurku, czytając cierpliwie chociażby podręcznik zoologji.

Chcesz się przekonać, że życie zwierząt nie jest tak prymitywne, jakby ci się zdawało — że nasze niedaleko odbiegło?

Słuchaj:

Gdy duma człowieka ogarnia, chełpi się, że najzdolniejszy — potrafił sam ujarzmić naturę. Świat zwierząt i roślin stoi do jego usług.

Przyglądnijmy się chwilę jednemu z najbardziej zorganizowanych ludów zwierzęcych — termitom. Dom — duży kopiec, wielki, podzielony na piętra, pokoje, ma i swoje ogrody, gdzie termity hodują grzyby, będące pokarmem dla młodych. Znają też termity wielkie znaczenie nawozów, swoimi drobnymi ząbkami nagryzają celulozę drzew, znoszą do ogródka i spulchniają w ten sposób ziemię.

Czy zwierzęta kochają swój kraj?

Kto z was nie zna węgorza — podobny do węża — stary, żyje wieki całe. Żyje w jeziorach, rzekach. Gdy jednak nastaje czas, by złożyć ikrę — pędzi do morza — i to stale wszystkie do jednego morza — do Sargosu. A ciągnie ich tu — miłość za morzem, za „krajem" ojczystym. Nie wierzycie — wytłumaczę. Bardzo dawno temu — kiedy ziemia nie była jeszcze rozdzielona na sześć części, ale kiedy te stanowiły całość, musiało w tem miejscu, gdzie dzisiaj jest Sargos, istnieć jezioro, w którem pojawiły się poraz pierwszy węgorze. Spójrzcie teraz na mapę. Wklęsłość wschodniego pobrzeża odpowiada wypukłości Europy, Azji i Afryki. Kiedyś była to jedna całość — taka istnieje hipoteza — i pewne ruchy tektoniczne ziemi wpłynęły na jej rozerwanie i jezioro stało się morzem. Węgorze, które rozmnożyły się bardzo musiały zacząć swą wędrówkę za chlebem na inne morza i rzeki. Skoro jednak przychodzi czas tarła — miłość ich do morza ojczystego odżywa. Młode węgorze nie mogą się urodzić pod obcem niebem. Zaobserwowano również, że żaden węgorz w niewoli, czy w jakiemkolwiek innem morzu swej ikry nie złożył.

Czy zwierzę kocha swe młode?

Czytałem kiedyś o takim wypadku: Pewien podróżnik natrafił na stado małp. Te, skoro spostrzegły człowieka, z wrzaskiem uciekły. Nagle jedna z nich, młoda jeszcze, pozostała w tyle. Podróżnik zbliżył się do niej z zamiarem pojmania jej. Nagle stado — prowadzone przez starego goryla — spostrzegło stratę i dało znać o tem swemu przywódcy. Ten nie zawahał się ni chwilę — wrócił wraz z kilkoma małpami i wziął słabą na plecy. Podróżnicy opuścili zdumieni strzelby.

Czy zwierzęta troszczą się o swe potomstwo?

Na naszych łąkach widzicie często (ale nie znacie) owada, ptaszkówkę. A kto ma cierpliwość, zaobserwować może ciekawy fakt. Gdy ptaszkówka złoży, gdzieś w norze swe jajo — wybiera się na polowanie, łapie chrząszcza, paraliżuje go specjalnym płynem, wydzielanym przez siebie i zanosi do nory, gdzie znajduje się jajo. Nazajutrz, gdy wylęgnie się młody owad — niezdolny jeszcze do samodzielnego życia, znajduje przygotowany świeży pokarm.

Czy zwierzęta potrafią się leczyć?

Dr. Antonius — dyrektor Zoo we Wiedniu opowiada: Pewnego razu jeden ze słoni złamał sobie kieł. Słoń, podobnie, jak człowiek, wykrzywił tę część twarzy, która go bolała.

Zwierzęta tworzą państwa gdzie istnieje ład i porządek. Zwierzęta opanowały sztukę wychowania swych młodych — ale o tem innym razem.

Wiązanka podobnych faktów daleka jest jeszcze od wyczerpania — mówiłaby o technice (narządy elektryczne u ryb), chemji sposoby oświetlania głębin morskich, przez zwierzęta tam żyjące i o wielu innych ciekawych faktach, które mają miejsce w ł a ś n i e w życiu zwierząt.

Jaakow R.

N A U L I C Y

Zima w pełni. Śnieżystym zawojem otuliła całą ziemię, a wody skuła w ich własne okowy. Śnieg sypie, kładzie się grubemi warstwami na ziemię. Biało, biało dokoła. Aż oczy bolą od patrzenia.

Brrr... Mróz...

Cwir, cwir cwir: Mró-ó-z...

Na szynach tramwajowych podskakują małe, pierzaste istoty. Oblepiły ściany domów i okoliczne druty tramwajowe, telefoniczne, czy anteny i trzepocą się z zimna. Mróz, mróz. Drobne ciałka kurczą się jeszcze bardziej i natarczywie domagają się swego. Mroźno — mróz ściął się soplami na gzymsach i okapach — głodno — zima rozsnuła się śniegiem po ulicach. — Dociera to wreszcie i do twojej świadomości zakutanej futrem, czy ciepłym płaszczem. Mechanicznie nieledwie dziurawi ręka kieszeń w poszukiwaniu za okruchami. Jest! sypiesz okruchy w sam środek rozwrzeszczonej gromady. W mgnieniu oka pokrywa ruchliwa masa puste pierwej miejsce — i znowu od początku. Jeść, cwir, jeść! Okruchy starczyły dla kilku szczęśliwców, bardziej przedsiębiorczych — reszta zaczyna swój koncert znowu.

Tymczasem ze ścian zlatują się dalsze wróble, znęcone poruszeniem „dolnych" warstw. Szczególnie jeden, wielki, szary, czupurny, wpada w sam środek i po krótkiej walce — leci drobne pie-

rze — zwycięzca zostaje na placu boju. Biedny, mały Don Kichot. Okruchy już znikły w żołądkach mniejszych zawadjaków. Poruszenie, wywołane chwilową rewolucją, przechodzi znowu w monotonne cwir... cwir... Głód znowu skręca kiszki, mróz nastrasza pióra. Wszystko się kręci, podskakuje, rusza.

Stoisz niezdecydowany, ręce znowu bezwiednie penetrują kieszenie. Nic nie znalazłeś.

Szkoda. Zimno, zimno, głodno.

NASZE KROWY

Gdybyście poznali nasze krowy, nie trzebaby było przekonywać was o tem, że je kochać należy. A cóż dopiero, gdybyście je sami wypasali! Sądzisz może, że krowy są głupie? Przyjedźcie do farmy, a przekonacie się że tomy możnaby o nich pisać, o ich mądrości i wielkich przymiotach.

Mamy cztery krowy: Dużą, Czarną, Łysą, Krasulę. W tym właśnie porządku stoją w szeregu w oborze, lecz jeśli wymienić według ogólnej sympatji, musiałabym liczyć: Czarna, Krasa, Duża, Łysa.

Rano wcześnie, zaraz po dojeniu, zjawiają się pasterze. Słońce jeszcze nisko, a oni już gnają na pastwisko. Idą sobie krowy w zwykłym porządku. Najpierw Czarna, najinteligentniejsza i najładniejsza. Wie gdzie wyszukać najlepsze kąski, dokąd zajść niby przypadkowo, gdzie najlepiej oszukać pasterza. Duża ma intuicję. Wie, że opłaci się towarzyszyć Czarnej i ani kroku bez niej nie uczyni, choć jest większa i tęższa od niej. Krasa zaś współzawodniczy z Czarną pod względem piękności, budowy ciała i chytrości. Bronzowa jej sierść lśni w słońcu, a figlarne czarne rogi nie od parady nosi, — robi z nich użytek, gdy trzeba Łysą odpędzić. Bo ta Łysa — to najbardziej niedołężne stworzenie, jakie ród krowi na świat wydał.

Na pastwisku — jak czasem. Gdy dobrze idzie, jeden pasterz krów pilnuje, a drugi czyta. Ale to są rzadkie chwile. Najczęściej bowiem krowy zakradają się na grzędy i pożerają jarzyny, a czasem nawet, zboże. Ot, właśnie zakradła się Duża! Biegniesz po nią, a ledwie ją „nawrócisz" spostrzegasz, że Czarna się tymczasem „dożywia". Na Boga — gdzież więc jest drugi pasterz? Musi oczywiście pilnować Krasuli, bo ta znów gdzieindziej szkód narobi. Tylko Łysa pasie się spokojnie. Brak jej inicjatywy, brak werwy. I dlatego ją najmniej lubimy, choć właściwie jest najporządniejsza.

Zato, gdy je zaganiamy do stawu, Łysa pokazuje, co umie. Po napiciu się wody, staje na środku stawu i ani rusz dalej! Nie

pomogą perswazje, prośby i groźby. Reszta tymczasem na swój sposób wykorzystuje tę sytuację ale żadna nie okazuje tyle bezwstydności, ile właśnie Łysa.

Powrót z pastwiska do obory. Gdy są w dobrym humorze, zabierają się do psot i rozrywek. Tu już rej wodzi Duża. Posiada jakieś specjalne zamiłowanie do gazet. Pożera każdą napotkaną, bez względu na jej język i charakter. Nikt jej oczywiście nie posądzał o tak kulturalne zamiłowania. A raz znów obeszła wszystkie zabudowania gospodarskie, z zainteresowaniem przypatrując się naszej zagrodzie, aż wreszcie stanęła przed studnią. Było wtedy właśnie generalne pranie. I zanim się spostrzegliśmy, porwała mydło, które momentalnie zniknęło w jej wnętrzu. I z niewinną miną rozgląda się, cóżby tu jeszcze za specjał znaleźć.

Zbiegli się ludzie z farmy odganiać psotnicę, bo pastorka tak się od śmiechu zaniosła, że z miejsca się nie mogła ruszyć. A inne krowy tymczasem w ciuciubabkę się bawiły i goniły dookoła studni.

Wesołych przygód niebrak z niemi. Tylko, że czasem kilku tęgich chłopów nawet poradzić im nie może. Trudno — takie już są nasze krowy.

Runka
Po powrocie z Leopoldynowa.

DZIWNY PIES

Dziwny to był pies, średniego wzrostu według psiej miary, biały w wielkie czarne łaty, jedno ucho białe, a jedno czarne, nogi silne i muskularne. Wychował się w lesie, skąd się tu wziął i jak spędził młodość — o to się nikt nie troszczył, dość, że się tu wychował. Las był jego domem, do lasu czuł dziwny sentyment. Słuchał melodyj lasu, lubił je, rozumiał. Słyszał czasem wielki szum, który się niósł przez gęstwinę, szum, który rósł w wicher, stał bezsilny, łamany, a jedyną jego obroną był jęk, co stopniowo przechodził w chóralne, pełne niemocy wycie.

— —

Dostał się do ludzi. Przygarnęła go wytworna dziedziczka. Wykąpano go, wymyto, przystrojono. Zniósł to z iście psim spokojem. Nakarmiono go lepką strawą i też nie zaoponował, ale zebrawszy całą swą psią wolę, połknął z trudem kawał czekolady. Polubił też wkrótce swą „dziedziczkę". Była bardzo dobra dla wszystkich, a małego wychowanka lasu pieściła i głaskała całemi dniami.

Pewnego dnia, a był to właśnie dzień deszczowy, wbiegł wprost z podwórza i pełen radosnego uniesienia skoczył na swą panią, by

jak zwykle polizać jej dłonie. Lecz nagle stało się coś nieoczekiwanego. „Córka dziedzica” krzyknęła i kopnęła go. Biedny pies zaskomlał żałośnie i uciekł, ale nigdy nie mógł zrozumieć, że został kopnięty za to, iż zbrudził suknię swej pani.

— —

Lubił dzieci. Ilekroć ujrzał małe dziecko, kładł się obok, lizał maleńkie rączki i słuchał jego gwary, własnej gwary, której nikt nie rozumie — ale on rozumiał. Wtedy przypominał mu się las ze swą tajemniczą mową.

— —

Zima, sroga zima. Pies już dawno nie pamiętał takiej zimy, w lesie, jakby wszystko zamarzło, wszystko ukryło się głęboko w swych norach, drzewa pokryły się śniegiem i stoją pogrążone w zadumaniu. Tajemnica i trwoga bije z lasu.

A pies uwiązany na łańcuchu pomrukuje zcicha i podrywa się wciąż, by biec do lasu. Ale zima jest sroga i łańcuch trzyma go na uwięzi. — To nic, minie zima, pobiegnie do lasu, do wolności, by napawać się nią dosyta.

— —

Minęła zima. Przyszła świeża wiosna, a z nią wielki pęd ku wolności, pęd, który się w szał wprost zamienia. Pies nie wytrwa już na łańcuchu, zrywa się co sił, drze pęta i biegnie — byle naprzód, byle na wolność. Lecz oto — u furtki już był właśnie — jakaś ręka zadała mu silny cios. Wpadł w wściekłość. Zapomniał o tem, że nigdy nie ugryzł nikogo, że bólu nikomu nie sprawił. Wbił swe kły w dłoń gospodarza i krew polała się obficie. Kij spada na grzbiet psa i wali w kości bez opamiętania.

Z trudem wyrywa się, zbiera resztki siły i ostatkami jej dowleka się do lasu. Układa znużone swe ciało w cieniu drzewa i wciąga w swe płuca pierwsze tchnienie wolności. I myśli: „Znów człowiek stanął na mej drodze i zabrać mi chciał wolność”.

A potem słucha szumu lasu i rozumie go, jak dawniej.

Jeden z Częstochowy.

W ZOO

Zoo warszawskie jest jednem z największych tego rodzaju w Europie. Zrozumiałe, porównać nie można do słynnych ogrodów zoologicznych, hamburskiego, czy drezneńskiego, które dzięki swej długoletniej tradycji zajęły czołowe miejsce w tej gałęzi.

Wchodzimy do wielkiego ogrodu. Szerokie, wygracowane aleje prowadzą od klatki do klatki. Przewodnik wprawdzie prowadzi inaczej, od najpiękniejszych okazów, ale my idziemy inaczej.

W okrągłym basenie o płytkiej wodzie stoją wspaniałe okazy flamingów, długie szyje, długie nogi, małe o różowem upierzeniu ciałka — całość pobudza nawet najpoważniejszych do śmiechu. Długie szyje chwieją się nieporadnie na wszystkie strony. Chlap — śnieżno-biała szyja zanurza się z głośnym chlupotem we wodzie. Raz-dwa-trzy... długo trwa zanim głowa nurka ukazuje się znowu, poświstując przed nami. Nagle — galimatjas, ruch, krótkie urywane wrzaski i szyje rysują w powietrzu pogmatwane esy floresy — flamingo zmniejsza się o połowę. Zawiązał szyję w krawatkę. Żywe te węzły z ciemnemi oczyma, odcinającemi się od śnieżnego tła kroczą z dumą i poważnie przed nami. Znowu krótki wrzask — i powoli jeden, czy drugi wypływa swą długą szyją ponad białe morze.

Śmiejemy się.

Po drodze basen z wydrą — która pewnie nurkuje w poszukiwaniu za zdobyczą — niema jej, żółwiem — szyldkretowym, gęsią czubatą, a później ptaki.

Klatki pełne ptaków. Biją się ze sobą dźwięki, barwy. Tutaj poważna Kakadu różowa, wyśpiewuje swoje żale, czy zachwyty, tam „papuzią" zielenią świeci się Ara. W osobnej klatce rozmigotały się kolibry. Tchnienie gęsto splecionych ljan brazylijskiej puszczy. Drobne, jak motyle ptaszęta ostrym świergotem przecinają zatęchłe powietrze klatki. Krzyżują się w powietrzu kolory niebieskie, zielone, czerwone, czarne, żółte — dziwny, przypadkowy splot barw, jak dziwna i niewytłumaczona jest puszcza brazylijska. Głowa puchnie od wrzasku, zdaje się, że pęka. Nastroszony, srogi swoją groźbą siedzi na gałęzi krogulec, płowy, wielki, ale bez życia. Gdzie spiekłe skały południowych krain — by móc lotem strzały trafić, rozerwać, napić się pełnym haustem krwi ofiary i ulecieć pod niebiosa z dziękczynieniem w dzikiem, krogulczem sercu. Gdzie wróg, który niecnie sprzątał sprzed spragnionego dzióba dogorywającą ofiarę — bo silniejszy był. Niebieskie, gorące niebo skamieniało w oczach wielkiego ptaka z rodziny sępów drapieżców. Odbijają się w nich silne pręty klatki...

Niedaleko zamieszkał tygrys. Prężne zwykle ciało, centkowane, rdzawo-brunatnej barwy teraz spoczywa bezwładnie na deskach klatki. Kocie wąsy opadły na potężne łapy. Pazury schowane, dowód przynależności do jednej rodziny z naszym domowym kotkiem, bezwład, bezruch, nuda rozległych pampasów. U-u-u-ach! Wspaniałe cielsko przeciąga się, ukazują się potężne kły, rozwarte w przeciągłym ryku. Odkrywają się szaro-płowe oczy i patrzą bezbarwnie w dal, w przestrzeń. Poprzez stalowe pręty, poprzez zielone drzewa północnego, dżdżystego kraju spoglądają na wesołe, choć upalne, rozigrane promienie słoneczne. Godzina wodopoju

nadeszła. Na samo wspomnienie mętnej, żółtej wody — nektaru stary tygrys przeciąga się w zachwycie. Jeszcze chwilę szeleści długimi wąsami i znowu zapada w półsen.

„Pan wszystkiego, co żyje na bezkresach pustyni", „żółty pan" Sahary rozpoczyna poraz setny tego dnia swą wędrówkę po wygładzonej, jak lustro desce. Grzywiasty lew jest rzeczywiście potężny, wysoki, wparł się łapami-kolumnami w deski klatki i spoziera dokoła. Mięśnie, ćwiczone na sypkich skałach Sahary, drgają nieprzerwanie pod gęstym, nieokreślonej barwy włosem. W żółtych oczach tkwi wyraźna pogarda do marnych tworów ludzkich, nagich, bezbronnych istot. Ślina napływa do pyska na wspomnienie gładkiej, czarnej skóry pierwszej — setnej? — ofiary ludzkiej. Jakżeż to nieporadne, naiwne, w swym kolczastym koraalu, kryjące się stworzenie. Jeden sus — i już kły nurzają się w ciepłej jeszcze krwi. Pręży się do skoku, wyślizgana deska przywraca „pana wszystkiego" do rzeczywistości, okratowanej stalowymi prętami. I znowu tam i spowrotem, tam i spowrotem — ogon bije wściekle o deski, przymrużone oczy ciskają skry. Ryk. Na chwilę zastygła krew w żyłach. Uciekać! Całe zoo znieruchomiało w szacunku i trwodze. Nawet ptaki zamilkły — o dziwo! — na chwilę. Pan przemówił. Ale już wszystko znowu wraca z krótkiej wędrówki po dalekich krainach na wygładzone deski. Wszystko jest postaremu.

Podrodze dwie klatki. Cuchną na odległość. W jednej biegają tam i spowrotem, trącając się spiczastemi mordkami, dwa młode szakale, wydają krótkie, porozumiewawcze tony. Z drugiej klatki dolatuje przeciągły chichot. Brrr. Niekształtna pręgowana, bura hjena biega tam i spowrotem, wydając przeciągły chichot. Hiii — Czujesz, zasugerowany padlinę. Biedni epigoni „panów wszystkiego" i „centkowanych kotów"...

Za kolczastem ogrodzeniem i tłuczonem szkłem posypanym wąskim wałem, stąpa najsilniejsze zwierzę dżungli. Tantor, Sambo, King. — W głowie plącze się lektura dziecinnych lat. Tak więc wygląda wierny przyjaciel wielkiego Tarzana i małego Stasia. Wielka trąba, wielki kieł — drugi złamany u nasady — małe, bez jakiejkolwiek proporcji do masy ciała, oczka, wielkie uszy i krótki ogonek i wszystko, co między tem się znajduje — bezkształtne, przelewające się — to właśnie on. Nie z obawy przed ucieczką ogrodzono dość wielkie zresztą miejsce zamieszkania, ani z trwogi przed siłą, ale poto. by nieproszony przyjaciel nie stratował przypadkiem pomniejszych klatek i drzew w ogrodzie. Pozatem jest to łagodne stworzenie, chętnie obwąchuje każdą wyciągniętą dłoń swą długą trąbą. Czasami tylko widzisz pysk, znowu nieproporcjonalnie mały, połykajcy prędko jakiś przysmak. Gościom nie

wolno obdarzać słonia żadnem jedzeniem — brzmi przepis. Z boku, niedaleko od słoni stoi mały domek. Tabliczka: Obcym wstęp wzbroniony — broni dojścia. Pod tem napis: Pora karmienia godz. 6 wieczór, chętni oglądania — za wstępem u dozorcy. O, wielki przyjacielu swej młodości, jakaż to hańba dla ciebie! Pamiętasz jeszcze, jak tratowałeś, niczem niewstrzymany, gąszcze, dla nas, niegodnych, niedostępne? Pamiętasz, jak rozrywałeś jednym ruchem twej długiej trąby i kłów zdrętwiałą ze strachu ofiarę? Przeskocz, nie bój się, ogrodzenie i wpadnij, jak huragan na nas ciekawskich, pokaż pokaż-że, co potrafisz. Skaleczysz sobie może podeszwy twych ciężkich nóg o tłuczone szkło, ale to nic, będziesz wolny. Wolny! Ale nic się nie staje, drut kolczasty zastyga w bezruchu i zwiedzający czułe się uśmiechają do Basi-słonia. Chciałoby się przerwać pieszczotliwe idjotyzmy dosadnem przekleństwem...

Czerwonawe, zimne, malowniczo rozłożone skały, odgrodzone od alei głęboką fosą wypełnioną wodą. Gorący podmuch Sahary zamienia się w świszczący wicher okolic podbiegunowych. Powoduje to kilka białych niedźwiedzi, ciężko baraszkujących na drugim brzegu fosy. Jeden podpływa pod sam nasz brzeg i spogląda ku nas z dołu. Kilka chwil trwa tak — na co czeka? — i znowu nurkuje w oziębionej sztucznie wodzie. Sztuczność spoczywa na wszystkiem, instynkty zwierzęcia nie dają się oszukać.

Mrok zapada. Znikają skały, drzewa, klatki. Niepokój idzie po świecie. Aha to wieczór. Czas wstawać, rozprostować członki ociężałe, zamruczeć i wyjść na polowanie... Czas już, czas. Shere Khan już wyszedł na łowy, Mowghli-Żabka też się przeciąga, czarny Numa błyska oczyma. Życie walczy.

O kilka kroków za ogrodzeniem stolica rozbłyskuje neonami. Tramwaj. Okólny. Życie wre.

Szimszon.

K O Ń

Znamy go z bajek:

Ognisty rumak zaprzężony w złocistą karetę. Czystej krwi arabskiej ogier niesie rycerza na zapasy, w bój.

Znamy ze stepów:

Dziki koń, jeszcze wolny, nieujarzmiony, hasa wśród bujnych traw. Pan w swem królestwie — wolny wśród wolnych.

Znamy — o tak. Niema już wprawdzie złocistych rydwanów, niema w żelazo okutych rycerzy.

Są jednak inni rycerze, którym trud roboczy za pancerz stanie, którzy błyszczą od smarów, dla których koń jest towarzyszem wiernym, z którym ich łączą węzły nierozerwalne. Na głazach bezornych ugorów Emeku zawarli przymierze w obliczu wroga wspólnego.



Lecz my innego konia znamy.

Znamy go ze wsi:

Pracuje w polu, ciągnie pług, ciągnie bronę. Obraca młóckarnie, zwozi nawóz. Po żniwach plon zwiezie, siano przywlecze, do końca doprowadzi dzieło. A w dzień targowy na targ powiezie płody do sprzedaży. A czasem przed kuźnią staje i na podkowę czeka.

Znamy go z miasta:

Jak w ulewne wieczory ciągnie ciężkie platformy towarowe, jak ugina się pod ciężarem i pod ciosem bata, jak potknie się czasem o szynę — i o własnych siłach wstać nie może.

Znamy chudą szkapę, co na jedno oko już dawno oślepła, a drugiem śmierci wygląda.

Znamy źrebię małe, co za matką biega i dognać jej czasem nie może, bo młode ma jeszcze nogi.

I znamy jeszcze jednego konia:

Bo gdy dojdziesz pocichu i podstawisz pod pysk cukru kawałeczek — popatrzy i uśmiechnie się do ciebie — i nowego widzisz konia.

Tak, bo konie się uśmiechać mogą.

Znamy go przecież i takim!

Z O Z

Trzy literki — proste, krótkie, niby sygnał dobrze nam wszystkim znany.

Z. O. Z. Trzy te krótkie litery, rzucają nam się w oczy z każdego afiszu, z każdego muru i kiosku.

Z. O. Z. działa. Rozwija ożywioną działalność, silna propagandę — zagarnia coraz szersze kręgi. Walczy ze złem, z krzywdą — zwierzęcą.

Człowiek może się bronić przed bezprawiem. Ma swój parlament, ma pismo, trybuny, ma głos i mowę, którą każdy zrozumieć może. Przeciwstawi się — będzie dochodzić swoich praw — obroni się.

Zwierzęta zaś bezbronne są wobec ucisku ludzkiego. Ujarzmił je człowiek dla swojej wygody, nagiął do swoich egoistycznych potrzeb i czyni z niemi, co mu się podoba. Nie rzuci mu zwierzę w twarz prawdy, nie potępi go w słowach pełnych wyrzutu, nie będzie dochodzić swych praw. Bezbronne jest wobec człowieka.

Dla walki z tą krzywdą powstał Związek Ochrony Zwierząt. Musi wreszcie być ktoś, kto ujmie się za pokrzywdzonym.

Znaleźli się wreszcie ludzie, którym sumienie nie pozwoliło spokojnie patrzyć na ucisk niewinnych zwierząt.

Zorganizowali się w związek, którego zadaniem jest uświadomić ludzi o tem, jak miłować trzeba zwierzęta. Najprostsza droga — to droga wykładów, zebrań i referatów. Z. O. Z. niesie też bezpośrednio pomoc zwierzętom interwenjując we wszystkich wypadkach, gdzie ludzie źle obchodzą się ze zwierzętami.

Ciekawe są nieraz wystawy, organizowane przez związek, bo różnych sposobów chwyta się Z. O. Z., by pokazać ludziom, jak miłe są zwierzęta i jak bardzo polubić je można.

Myśl Z. O. Z.'u nie dotarła jeszcze do szerokich mas, ale powoli przedziera się w coraz szersze koła.

GARM ZAKŁADNIK

Pewnego wieczoru, bardzo dawno temu, udałem się do indyjskiej kwatery wojskowej, nazwanej Mian Mir, ażeby przyjrzeć się przedstawieniu amatorskiemu. W tyle za barakami infanterji jakiś żołnierz z czapką na bakier, wypadł przed konie, krzycząc, że jest niebezpiecznym rozbójnikiem. Był on jednym z mych znajomych. Powiedziałem mu, by udał się do domu, zanim go kto nie złapie. Ale on wpadł pod dyszle, a ja usłyszałem już głosy straży.

Woźnica i ja wpakowaliśmy go do wozu i szybko odjechaliśmy do mego domu. Tam przebraliśmy go i położyliśmy do łóżka, gdzie nazajutrz zbudził się z silnym bólem głowy i bardzo zawstydzony. Gdy oczyściliśmy i osuszyliśmy jego mundur, gdy umył się i ogolił, odwiozłem go z powrotem do baraków z ręką na białym temblaku i doniosłem, że przypadkowo przejechałem go. Nie opowiedziałem tej historji sierżantowi mego znajomego, który był złą i nieufną osobistością, ale jego porucznikowi, który nie znał nas tak dobrze.

W trzy dni później odwiedził mnie, a za jego piętami łasił się z pianą na pysku jeden z najładniejszych dogów — z tego staromodnego chowu — tak pięknego nie widziałem jeszcze. Był on czysto biały, tylko grzbiet miał barwy jelonkowej, która zaczynała się od szyi i jelonkową plamę na końcu cienkiego ogona. Zdaleka podziwiałem go już od przeszło roku, a Wisuska, mój foksterjer, znała go, lecz nie doceniała.

— To dla pana — rzekł mój przyjaciel, ale pies nie wyglądał na zadowolonego z tego rozstania.

— Nonsens! Ten pies warta więcej, niż niejeden człowiek, Stanley — rzekłem.

— Tak, więcej. Służ!

Pies podniósł się na tylnych nogach i przez pełną minutę stał wyprostowany.

Stanął zaparłszy się w biodrach i głowę zwrócił ostro na prawo. Na dany znak podniósł się i zaszczekał trzy razy. Potem podał mi prawą łapkę i lekko skoczył na moje ramię. Tu zrobił z siebie wiotką krawatkę i bez ruchu zwisał po obu stronach mej szyi. Powiedział mi, bym chwycił go i podrzucił w powietrze. Upadł, jęknąwszy i podniósł jedną łapkę do góry.

— To dopiero część jego tricków — rzekł właściciel. — Teraz umrzesz. Wykop sobie grób i zamknij oczy!

Wciąż kulejąc, pies podskakiwał aż na kraj ogrodu, wykopał jamę i położył się w nią. Gdy usłyszał, że jest już wyleczony, podskoczył, merdając ogonem i płaczliwie prosząc o uznanie. Potem

wykonał jeszcze ze sześć innych tricków. Mógł istotnie trzymać człowieka na miejscu (ja nim byłem: Usiadł przedemną z zębami na wierzchu, gotów do skoku) lub przestawał jeść, usłyszawszy rozkaz. Zaledwie skończyłem wychwalać go, gdy mój przyjaciel wykonał gest, który zatrzymał psa, jakby ktoś strzelił, wyciągnął z kasku niebieski zwinięty papier kantynowy, wręczył mi go i odszedł szybko. Pies patrzał za nim i wył. Przeczytałem:

„Panie!

Daję panu psa w podziękowaniu za to, z czego mnie pan wydobył. Jest najlepszym z psów, które znam, gdyż sam go takim zrobiłem. Jest dobry, jak człowiek. Proszę nie dawać mu za dużo jeść i nie oddawać mi go, gdyż nie wezmę go. Więc proszę nie starać się oddać mi go. Ukryłem jego imię, więc może pan go nazwać, jak pan zechce, a on zgodzi się na nie. Ale proszę mi go nie oddawać. Może zabić człowieka łatwo, jakby spełniał drobnostkę. Proszę nie dawać mu za dużo mięsa. On wie więcej, niż człowiek“.

Wisuska chętnie przyłączyła swe przenikliwe szczekanie do rozpaczliwego wycia doga — a mnie było przykro, gdyż wiedziałem, że człowiek dbający o psy — to jedna rzecz, ale człowiek, który kocha psa — to rzecz całkiem inna. Ostatecznie psy nie są niczem więcej, jak plugawymi włóczęgami, brudnymi karmicielami i nieczystymi według formuł Mojżesza i Mahometa. Ale pies, z którym żyje się samemu przynajmniej przez pół roku — ta wolna rzecz przywiązana do człowieka tak silną miłością, że bez niego ani ruszy się, ani drgnie — ta cierpliwa, umiarkowana, wesoła, mądra dusza, która poznaje twe usposobienie w każdej chwili, wcześniej, niż sam zdajesz sobie z niego sprawę — to nie jest zwykły pies.

Miałem Wisuskę, która była całem mojem wszystkiem. Czułem to, czego odczuć nie umiał mój przyjaciel, wyrywający sobie serce i pozostawiający je w moim ogrodzie. Jednak pies zrozumiał jasno, że ja jestem już jego panem i nie pobiegł za żołnierzem. Gdy tylko uspokoił się trochę, przytuliłem go, a Wisuska szczekając zazdrośnie wpadła na niego. Gdyby była jego płci, rozweseliłby się walką, ale tak patrzał tylko z przykrością, gdy ona doskakiwała do jego boków, położył ciężką głowę na mem kolanie i wył znowu. Chciałem zjeść tego wieczoru kolację w klubie, ale gdy ciemność zapadła i gdy pies obwąchiwał obcy pokój, jak dziecko, chcąc się uspokoić w napadzie płaczu, czułem, że nie mogę zostawić go, by przebolał sam ten pierwszy wieczór. Zjedliśmy więc w domu — Wisuska po jednej stronie, a on po drugiej. Ona śledziła każdy jego kąsek wyraźnie zaznaczając, co myśli o jego manjerach przy stole. Leżało to w zwyczaju Wisuski, że zanim nie pocieplało na dworze, spała w mojem łóżku z głową na poduszce, jak człowiek.

A gdy nadchodził ranek, stworzonko to naprężało swe łapki opierając się o mur i odsuwało mnie aż na kraj łóżka. Tego wieczoru pobiegła do łóżka umyślnie szybko z nasrożoną sierścią, patrząc na obcego, który położył się na rogóżce w bezradny i beznadziejny sposób, wyciągnąwszy łapki, głęboko wzdychając. Położyła łebek na poduszce kilka razy, by pokazać swój wdzięk i swe miny i jak zwykle skowyczała płaczliwie przed snem. Obcy pies delikatnie podczołgiwał się do mnie. Wyciągnąłem rękę. Polizał ją. I w tej samej chwili przegub mej ręki znalazł się między zębami Wisuski i jej ostrzegawcze *aaarh!* mówiło tak wyraźnie, jak słowa, że jeżeli raz jeszcze zwrócę uwagę na obcego ,ugryzie mnie.

Chwyciłem ją za tłusty kark lewą ręką, potrząsnąłem ostro i rzekłem:

— Wisusko! jeżeli jeszcze raz to zrobisz, wyrzucę cię na werandę! Pamiętaj o tem!

Zrozumiała doskonale, ale w chwili, gdy ją wypuściłem, chwyciła znów za prawą rękę i czekała z uszyma położonemi, cała spłaszczona, gotowa do ugryzienia. Ogon wielkiego psa grzmocił o podłogę w pokorny i zgodliwy sposób.

Chwyciłem znów Wisuskę, podniosłem ją z łóżka jak królika (nienawidziła tego sposobu i wyła) i jak obiecałem, wyniosłem ją na werandę do towarzystwa nietoperzom i księżycowi. Na to zaczęła wyć doniośnie. Potem zaczęła mówić szorstko — nie do mnie, lecz do doga — póki ze zmęczenia nie zaczęła kaszleć. Potem biegała dookoła domu, próbując każdych drzwi. Potem udała się do stajen i szczekała, jakby ktoś kradł konie, co było jej starym trickiem. W końcu wróciła i jej zadyszane ujadanie mówiło: „Będę już grzeczna! wpuść mnie! Będę już grzeczna!".

Wpuściłem ją. Popędziła do łóżka. Gdy już uspokoiła się, szepnąłem do obcego:

— Możesz się położyć w nogach łóżka.

Pies skoczył natychmiast i chociaż poczułem, że Wisuska zadrżała z wściekłości, była jednak dość mądra na to, by nie protestować. Tak spaliśmy do rana. Wcześnie zjadły ze mną śniadanie, kęs po kęsie, póki nie przyprowadzono konia i nie udaliśmy się na spacer. Zdaje mi się, że pies nigdy przedtem nie szedł za koniem. Był rozdziczony podnieceniem, a Wisuska jak zwykle hałasowała i skowyczała, biegnąc na czele.

Był jeden kraniec sąsiedniej wsi, który zwykle mijaliśmy z trudem, gdyż wszystkie żółte parjasy miejscowości tam się zbierały. Były półdzikie i zgłodniałe, a chociaż całkowite tchórze, ale tam, gdzie się zebrały w dziewięciu czy dziesięciu, napadały jednak gromadnie, mogąc zabić i zjeść każdego angielskiego psa. Miałem

na nie hak z długim postronkiem. Tego ranka zaatakowały Wisuskę, która może naumyślnie wysunęła się poza cień mego konia.

Dog węszył w kurzu drogi o jakie 50 yardów w tyle kołysząc się w biegu i uśmiechając się, jak to umieją dogi. Usłyszałem jak Wisuska pisknęła. Pół tuzina kundysów rzuciło się na nią. Z poza mnie wyłoniła się biała smuga. Chmura kurzu wzniosła się dokoła Wisuski, a gdy opadła, zobaczyłem jednego wysokiego kundla ze złamanym grzbietem i doga, zwalającego drugiego na ziemię. Wisuska schroniła się już koło mnie, a dog przydreptał uśmiechając się szeroko, pokryty krwią nieprzyjacielską. Wtedy zdecydowałem się nazwać go Garmem o krwawej piersi, który w swym czasie był wielką osobistością, lub tylko poprostu Garmem. Pochyliwszy się więc, powiedziałem mu, jakie będzie jego obecne imię. Spojrzał na mnie, potem pobiegł naprzód. Krzyknąłem:

— Garm!

Zatrzymał się i przybiegł z powrotem, by zapytać, czego sobie życzę. Wtedy ujrzałem, że rację miał mój znajomy i że ten pies wie i warta więcej niż człowiek. Po przejażdżce dałem rozkaz, który Wisuska rozumiała, lecz nie lubiła:

— Iść umyć się! — rzekłem.

Garm zrozumiał to tylko w części. Wisuska wytłumaczyła mu resztę i oboje pobiegli razem. Gdy powróciłem na werandę. Wisuska była już śnieżno-czysta i bardzo dumna ze siebie, ale chłopak od psów nie chciał tknąć Garma pod żadnym warunkiem, chyba, że ja będę przy tem. Czekałem więc, podczas gdy go szorował, a Garm z szumującem mydłem na szerokiem czole, patrzał na mnie, by się upewnić, że to jest właśnie to, czego żądam, by zniósł. Wiedział doskonale, że chłopak słucha tylko moich rozkazów.

— Na drugi raz — rzekłem chłopcu — umyjesz psa razem z Wisuską, gdy je poślę do ciebie.

— Czy on wie o tem? — zapytał chłopak, znający obyczaje psów.

— Garm! — rzekłem. — Na drugi raz będziesz myty razem z Wisuską.

Wiedziałem, że Garm zrozumiał. Istotnie, na drugi dzień, gdy Wisuska jak zwykle uciekła pod łóżko. Garm wpatrzył się w powątpiewającego chłopca na werandzie, poszedł do miejsca, gdzie wczoraj został umyty i stanął wyprostowany w balji.

Ale długie dni w mem biurze srodze go wypróbowały. We troje wyjeżdżaliśmy rano o pół do dziewiątej, a wracaliśmy o szóstej lub później. Wisuska, przyzwyczajona już do tego, kładła się spać pod mym stołem, ale areszt ten wpijał się boleśnie w duszę

Garma. Zwykle siadał na werandzie, wpatrując się w zacienioną aleję. Wiedziałem, czego się spodziewa, czego oczekuje!

Czasem przechodziła drogą kampanja żołnierzy, idąca do swych fortów, a Garm pędził, by ich obwąchać. Czasem jakiś oficer wchodził do biura i smutno było widzieć, jak biedny Garm witał uniform — nie człowieka. Skakał nań i wąchał i radośnie szczekał, potem biegał do drzwi i z powrotem. Pewnego popołudnia słyszałem, jak ujada pełnem gardłem — rzecz, której przedtem nie słyszałem —i potem zniknął. Gdy wjechałem do ogrodu o schyłku dnia, żołnierz w białym mundurze przesadzał mur na drugim końcu, a Garm, który przybiegł na me powitanie, był wesoły... Zdarzało się to dwa — trzy razy na tydzień przez jaki miesiąc.

Udawałem, że nie wiem o tem, ale Garm wiedział i Wisuska wiedziała także. Wyślizgiwał sę z biura około czwartej, jakby tylko szedł popatrzeć się na krajobraz i to czynił tak spokojnie, że nie zauważyłbym tego, gdyby nie Wisuska. Zazdrosny piesek warczał pod stołem i parskał z oburzenia, dość głośno, by zwrócić mą uwagę na uciekającego. Garm mógł wychodzić ze czterdzieści razy w dniu, a Wisuska nie drgnęła nawet, ale gdy widywał się ze swym prawdziwym panem w mym ogrodzie, oznajmiała mi o tem w swym własnym języku. To była jedyna rzecz, jaką wykonywała, aby zaznaczyć, że Garm niezupełnie należy do rodziny. Pozatem bowiem byli najlepszymi przyjaciółmi — zawsze — jednak Wisuska tłumaczyła mi, bym nigdy nie zapominał o tem, że Garm nie kocha mnie tak, jak ona.

Tego się nigdy nie spodziewałem. Garm nie był moim psem i nie mógł być nim nigdy. Wiedziałem, że jest tak nieszczęśliwy jak jego pan, który maszerował 8 mil dziennie, by go ujrzeć. Tak więc wydawało mi się, że im wcześniej obaj się złączą, tem lepiej dla wszystkich. Pewnego popołudnia posłałem Wisuskę do domu samą w powoziku (Garm szedł już przedtem) i udałem się do kwatery wojskowej, by zobaczyć się z mym drugim znajomym, Irlandczykiem przyjacielem właściciela Garma.

Wytłumaczyłem mu całą sprawę i zakończyłem tak:

— A teraz Stanley jest w mym ogrodzie i płacze ze swym psem. Dlaczego nie zabierze go? Obaj są nieszczęśliwi?

— Nieszczęśliwi! Niema już życia w tym człowieku. Ale to jest jego manja chorobliwa.

— Jaka? Wędruje 50 mil na tydzień, by zobaczyć to zwierzę i udaje, że nie zauważa mnie, gdy widzi mnie na drodze. Jestem tak nieszczęśliwy, jak on. Skłoń go do tego, by zabrał psa!

— Tą karę sam sobie nałożył... Powiedziałem mu żartobliwie, wtedy gdy go pan tak szczęśliwie spotkał, gdy był upity — że jeśli jest katolikiem, to odpokutuje za to. Odszedł z tą myślą

w zapitej głowie i z pewną dozą febry i nic już nie wydawało mu się lepszem, jak oddanie psa na zakładnika.

— Zakładnika? Za co? Nie chcę zakładnika od Stanley'a!

— Zakładnika za jego poprawność. Teraz trzyma się prosto do tego stopnia, że jego towarzystwo stało się już nudne.

— Czy zobowiązał się tak? Przysiągł?

— Gdyby tylko to, nie martwiłbym się! Można się zobowiązać na trzy miesiące i potem koniec! On powiada, że nigdy więcej nie zobaczy tego psa i *tak* — niech pan uważa — będzie się więc trzymał zawsze! Zna pan jego napady! To jeden z nich. Jak to pies przyjmuje?

— Jak człowiek. Jest najlepszym psem w Indjach. Nie może pan skłonić Stanley'a, by go zabrał?

— Nie mogę zrobić nic więcej, niż uczyniłem. Zna pan już jego manję! Odbywa poprostu swą karę. Ale co zrobi, gdy pójdzie w góry? Doktór wpisał go już na listę.

Jest zwyczaj w Indjach, że wysyła się pewną liczbę inwalidów z każdego regimentu na gorący okres do miejscowości w Himalajach. Chociaż powinni oni rozkoszować się tam chłodem i wygodą, jednak brak im leżących w dole baraków i robią, co mogą, by powrócić jak najrychlej. Czułem, że to przeniesienie doprowadzi sprawę do punktu kulminacyjnego, opuściłem więc Terence'a pełen nadziei, choć zawołał za mną:

— On nie weźmie psa! Może pan założyć się o swą miesięczną gażę! Zna pan jego manję!

Nie udawałem nigdy, że rozumię żołnierzy. Uczyniłem to, co mogłem najlepszego: Odszedłem.

Tego lata inwalidzi regimentu, do którego należał mój znajomy, dostali rozkaz wcześniejszego wyruszenia wgżry, gdyż doktorzy uważali, że maszerowanie w chłodne jeszcze dni, zrobi im dobrze. Droga ich przechodziła ku południowi do Umballi, odległej o jakie 10 mil, czy więcej trochę. Potem skierują się na wschód i maszerować będą w góry do Kasaulki lub Dugshaju lub Subatkoo. Wieczerzałem z oficerami w przeddzień ich odejścia — mieli wymaszerować o piątej rano. Była już północ, gdy przybyłem do mego ogrodu i przyłapałem białą postać, przekradającą się przez mur.

— Ten człowiek — rzekł mój służący — był już tu od dziewiątej i wciąż rozmawiał z psem! To szaleniec! Nie kazałem mu odejść, bo był już tu wiele razy przedtem i ponieważ chłopak powiedział mi, że jeśli każę mu odejść, to ten dog zabije mnie natychmiast. Nie życzył sobie rozmawać z nikim i nie prosił ani o picie , ani o jedzenie.

— Kadirze Buksh — rzekłem —dobrześ zrobił, gdyż pies

zagryzłby cię napewno. Ale nie zdaje mi się, by ten biały żołnierz przyszedł tu jeszcze kiedykolwiek.

Garm źle spał tej nocy i płakał przez sen. Raz zerwał się z wyraźnem szczekaniem i słyszałem, jak uderzał ogonem, póki nie zbudził się i szczekanie przeszło w wycie... Śniło mu się, że jest znów ze swym panem, a ja prawie rozpłakałem się. Wszystko to była głupota i wina Stanley'a.

Pierwszy postój oddziału inwalidów był o kilka mil od baraków na drodze Amritsar, o dziesięć mil od mego domu. Jedynie przypadkowo jeden z oficerów przyjechał jeszcze na dobrą kolacyjkę do klubu (jedzenie w marszu jest zawsze złe) i tam spotkałem się z nim. Był mym dobrym znajomym i wiedziałem, że potrafi kochać należycie psy. Ulubieńcem jego był wielki tłuścioch, który udawał się w góry także dla zdrowia, a chociaż był to dopiero kwiecień, okrągłe zwierzę sapało i dyszało na werandzie klubu, jakby miało pęknąć.

— To zdumiewające — rzekł oficer — jakich używają ci inwalidzi wykrętów, by wrócić do baraków. Jest tam taki człowiek, który prosił mnie o pozwolenie powrotu, by zapłacić dług, o którym zapomniał. Byłem tak zaskoczony tem, że zwolniłem go i on odszedł tak zadowolony! Dziesięć mil, by zapłacić dług! Ciekawy jestem, jaki był prawdziwy powód.

— Jeśli mnie pan odwiezie do domu, będę go mógł panu wskazać — rzekłem.

Pojechaliśmy więc w jego małej bryczce wraz z jego psem. Po drodze opowiedziałem mu historję Garma.

— Zastanawiałem się, gdzie się ten pies podział? To najlepszy pies w regimencie — rzekł oficer. — Przed miesiącem proponowałem Stanley'owi 20 rupij za niego. Ale, on jest zakładnikiem, powiada pan, za dobre prowadzenie się Stanley'a? Stanley jest najlepszym z mych ludzi — jeśli chce.

— To powód, dla którego drugorzędny człowiek nie wziąłby sobie tej rzeczy tak do serca, jak on.

Udaliśmy się cicho na drugi koniec ogrodu i obeszliśmy dom dookoła. Tuż koło muru było miejsce całe zarośnięte tamaryszkiem, gdzie Garm chował swe kości. Nawet Wisusce nie wolno było zbliżyć się do nich. W pełnem świetle księżyca Indyj ujrzałem białą postać pochyloną nad psem.

— Bo widzisz staruszku — usłyszeliśmy głos Stanley'a. — Nie daj się ugryść i nie wścieknij się, na miłość boską, z powodu jakiegoś podłego, świńskiego kundla. Ale ty umiesz pilnować się, staruszku. Ty nie spijasz się i nie napadasz na kolegów. Zabierasz swe kości, jesz biszkopty i zabijasz nieprzyjaciół, jak gentleman. Od-

chodzę — nie wyj — odchodzę do Casauli, gdzie cię już więcej nie zobaczę...

Mogłem słyszeć, że przytrzymuję nos Garma, gdy pies podnosił go do wycia.

— Pozostaniesz tu i będziesz uważał na siebie i — ja odejdę i będę się starał uważać na siebie — i nie wiem, jak cię opuścić — nie wiem, jak cię opuścić — nie wiem — —

— Uważam, że to jest przeklęta głupota — rzekł oficer, głaszcząc swego głupiego tłuściocha. Zawołał na żołnierza, który zerwał się na nogi, wyszedł ku nam i zasalutował.

— Wy tutaj? — zapytał oficer.

— Tak, panie poruczniku, ale zaraz wracam.

— Odjadę stąd o jedenastej, moim wózkiem. Pojedziecie ze mną. Nie mogę pozwolić, by chorzy biegali tak milami po kraju. Stawcie się o jedenastej *tutaj*.

Nie mówiliśmy nic, odchodząc, ale oficer mruczał coś i ciągnął za uszy swego tłuściocha.

Był to pozbawiony wdzięku, przekarmiony pies pokojowy, zdatny tylko do leżenia na rogóżce przed drzwiami. Gdy poczołgał się do kuchni, by dostać jedzenie, błysnęła mi genjalna myśl!

O jedenastej nie można było nigdzie znaleźć psa oficera i właściciel jego zrobił niesłychane zamieszanie. Wołał i krzyczał i pienił się, biegając po ogrodzie przez pół godziny. Potem rzekłem:

— Napewno zjawi się rano. Niech pan tu przyśle człowieka koleją, a ja znajdę psa i oddam mu to zwierzę.

— Zwierzę? — rzekł oficer. — Cenię tego psa o wiele więcej, niż jakiegokolwiek człowieka! To wszystko dobrze panu mówić, bo pański pies przy panu!

Więc ona była pod mojemi nogami — a gdyby jej nie było i ja nie myślałbym o niczem, pókibym jej nie odnalazł. Ale niektórzy ludzie zachwycają się psami niewartymi uderzenia batem! Mój znajomy musiał w końcu odjechać ze Stanley'em. Potem chłopiec pilnujący psów, rzekł do mnie pogardliwie:

— Cóż to za pies ten pies Bullena Sahiba? Proszę popatrzeć na niego!

Poszedłem do mieszkania chłopaka. Tłusty, stary skazaniec leżał na rogóżce starannie związany. Musiał słyszeć nawoływania swego pana, ale nawet nie próbował wyrwać się.

— Nie ma duszy — rzekł chłopak z pogardą — to jest punniar-kootar (wyżeł). Nie próbował nawet zerwać się, gdy pan wołał na niego. Wisuska wyskoczyłaby przez okno, a ten wielki zabiłby mnie, zagryzłby w swej paszczy. Prawdą jest, że jest wiele rodzajów psów!

Następnego wieczoru zjawił się naturalnie — Stanley. Oficer posłał go koleją z listem proszącym mnie o psa, jeśli go znalazłem, a jeśli nie, żądającym ogromnego odszkodowania. Ostatni pociąg odjeżdżał o pół do jedenastej. Stanley do dziesiątej rozmawiał z Garmem. Argumentowałem, błagałem, groziłem, że zastrzelę doga, ale człowiek ten był silny jak skała, chociaż przemawiałem doń jak najostrzej. Garm wiedział tak dobrze, jak i ja, że ostatni raz widzi swego pana i szedł za Stanley'em jak cień. Tłusty pies oblizał mordę po jedzeniu i nie podziękowawszy nawet pogardą napełnionemu chłopcu, powlókł się za żołnierzem.

Tak więc odbyło się ostatnie spotkanie. Czułem się tak źle, jak sam Garm, który całą noc przejęczał we śnie. Gdy poszliśmy do biura, ulokował się pod biurkiem, tuż obok Wisuski i przeleżał tam aż do powrotu do domu. Nie wybiegał już na werandę, ani nie wyślizgiwał się na pokryjome schadzki ze Stanley'em. Gdy nadeszły upały, psom nie wolno było biec za mym wózkiem, lecz musiały siedzieć koło mnie — Wiskuska z głową pod moją lewą pachą, a Garm przytulony do lewej poręczy.

c. d. n.

PIERWSZE KROKI



CZŁOWIEK A PRZYRODA

Mieszczuchu, — wiedz, że swą uległość wobec przyjemności i wygód, które wymyśliła cywilizacja w większych zbiorowiskach ludzkich, opłacasz drogą ceną! Ceną utraty zdrowego i normalnego kontaktu z przyrodą i jej zbawiennego wpływu na człowieka.

Tępieją w mieście twe zmysły, ulegasz chorobom nerwowym, płucnym, brak ci hartu i odporności życiowej. Twe myśli są szare, jak szare i bezbarwne są kamienice, w których się gnieździsz. Środowisko miejskie zdemoralizowało cię, nauczyło wyrafinowania i obłudy. A całe twe wychowanie zamknięto w cztery ściany, nie pozwalano ci się rozwijać tak, jak tego twój instynkt samozachowczy pragnie. Wtłoczono cię w sztuczne ramy i zamknięto w nich cały twój rozwój.

Powstaliśmy jako reakcja przeciwko skarłowaciałym zwyczajom twego życia. Zdrowy ruch skautowy — nawołujący do powrotu na łono natury, wychowujący ludzi hartownych duchowo i fizycznie.

Rozprostuj twe zgarbione plecy. Przywróć sprężystość osłabionym mięśniom, a zmysłom właściwą im sprawność.

Wśród gór, lasów i łąk — nauczysz się gardzić niebezpieczeństwem, nabędziesz zaradności — życie tego wymaga. Nagniesz swe zwierzę-egoizm do warunków najprymitywniejszych, wyrobisz wytrwałość, hart i silną wolę w walce z nieprzychylnemi ci często zjawiskami natury. Zrozumiesz szmer lasu, wichru i strumyka, a w każdym kwiatku i trawit odgadniesz piękno.

Jak mowę przyrody, tak i serca ludzkie zrozumiesz bez słów. I w życiu napotkasz to samo piękno, co w naturze, gdy na każdym kroku szukać je będziesz.

W wspólnym wysiłku pokonywania trudów prymitywnego życia, natura złączy cię i zbrata z ludźmi, nauczy ufać im i wierzyć.

Wolny od przesądów, zdrowy duchem, potrafisz podług nakazów własnego sumienia stworzyć sobie najpiękniejszą etykę. A takich ludzi nam trzeba! Którzy, jak w jeździe na nartach, obiorą daleki punkt, za cel powiedzą: Nie damy się zgnębić przestrzeni! I osiągną go, mimo stromych wzniesień, ostrych zjazdów, dalekiej tury.

Szoszana, Nowy Targ.

O UBÓJ RYTUALNY

Zrazu zaczęto nagonkę na Żydów, a punktem zaczepnym była właśnie kwestja uboju rytualnego. Chodziło o to, że zarzynanie zwierząt, czy drobiu nożem, sprzeciwia się zasadom humanitarności. Do takich celów używać należy broni palnej, która szybciej i sku-

tecznIej działa, jeśli już nie mówić o zabijaniu przy pomocy prądu elektrycznego.

Z raz poruszonej kwestji stała się sprawa poważna, nad którą zastanawiają się obecnie czynniki oficjalne i całe żydostwo polskie stoi obecnie przed niebezpieczeństwem zniesienia uboju rytualnego.

Żydzi protestują. Zachować chcą rytuał, przekazany im od prapokoleń.

Zastanówmy się jednak nad słusznością. Czy bronić mamy rytuału, czy humanitarności?

Odpowiedź jest jasna i prosta. Ci, którzy tworzyli rytuał żydowski, ci którzy nadawali narodowi odwieczne prawa i przepisy — byli mężami o głęboko zakorzenionej humanitarności, wypływającej z gorącej miłości do wszystkiego, co żyjące. Ta właśnie dobroć serca nie pozwoliłaby im torturować niewinnych zwierząt, a tem mniej jeszcze uświęcać tortury te rytuałem. Leżało już zresztą w naturze narodu żydowskiego, że nie znosił pławić się w krwi nietylko ludzkiej, lecz i zwierzęcej. To też zanim śmierć zadano stworzeniu, dobrze przemyślano sposób i cel uśmiercenia.

Tak też było z ubojem rytualnym. Naukowo dowiedzione jest, że cięcie zadane zwierzęciu w tętnicę uśmierca momentalnie, bez żadnych cierpień. Prawodawcy żydowscy obrali ten system w tej właśnie świadomości, uznając ten rodzaj śmierci za najbardziej humanitarny.

Dziś wysunęła się sprawa zabijania bronią palną. Czy śmierć taka jest mniej bolesna? Tak przynajmniej przypuszczano.

Eksperyment, przeprowadzony jednak ostatnio, wykazał, że szochet żydowski zręczniej i szybciej, bez zadawania cierpień, ubił cztery woły, zanim kilka strzałów rewolwerowych położyło jednego wołu, tarzającego się wśród szalonych męczarni.

Skoro więc ludzie muszą się mięsem karmić, to wszak najbardziej humanitarny jest ubój rytualny.

W naszym rytuale bronimy właśnie humanitarności.



UMARŁA ANDA ECKER

Pamiętamy chyba wszyscy piękne wiersze Andy Ecker, wesołe i poważne, radosne i tęskne, rozmaite, przebogate, jakich niezliczoną moc czytaliśmy w wielu pismach — i w naszem piśmie również.

Kto z nas nie pamięta pięknego wiersza o chalucach, bezimiennych, cichych, zapoznanych bohaterach?

Kto z nas nie pomni wierszy z podróży palestyńskich, z których bił raz gwar wielkiego miasta, hałas rojących się od ludzi ulic — a raz znów biła cisza pięknych, tajemniczych nocy palestyńskich, gdzieś z nad wybrzeża morskiego?

Kto z nas nie podziwiał porywającego uczucia i głębokiego smętku, bijącego z wierszy poważnych, smutnych, stęsknionych?

A kogóż nie tknęła do głębi wieść o śmierci młodej dziewczyny-poetki?

Zmarła niespodzianie. Odeszła wtedy właśnie, gdy jej młodzieńczy talent rozwijał swe skrzydła do lotu. Dała nam niedawno tom swych poezyj „Na cienkiej strunie". I chciała dalej tworzyć, wyśpiewać wszystko, co dusza w niej przeżywała. Przygotowywała właśnie drugi tom wierszy, gdy śmierć zaskoczyła ją w domu rodziców, we Lwowie.

Nie ujrzymy już nowych jej wierszy. Nie będzie już w prostych, lecz serdecznych rymach malować swych bogatych myśli, jak tęcza barwnych i jak morze głębokich.

Tak wiele jeszcze dać mogła młodej literaturze polsko-żydowskiej, lecz odeszła od nas — przedwcześnie.

ANDA ECKER

LIST FANTASTYCZNY

(Ze zbiorku: Na cienkie strunie)

O najsmuklejsze moje z Hajfy nad zatoką
wy, które się tak lekko chwiejecie w błękicie!
Czy dobrze wam stać w słońcu pod niebem wysokiem,
a morze, czy wciąż szumi, jak wtedy o świcie?

O najstrzelistsze, piękne na dalekich lądach,
które cicho nad wodą przy porcie rośniecie —
powiedźcie wy mnie — obcej, jak tam dziś wygląda
mnie, żyjącej w północnym, nieznanym wam świecie.

O najwonniejsze palmy w tamtym jasnym kraju
wyzłacane na liściach płynnych, ciepłym blaskiem.
Tutaj nikt o was nie śni. Tutaj palm nie znają,
bo u nas takie drzewa widać na obrazku.

O prężne, gibkie, młode z nad brzegów urwistych,
którym wiatr czesze miękko szerokie wachlarze!
Tak bardzobym was znowu chciała widzieć z bliska
i bardzo za wami tęsknić. I wciąż o tem marzę.

Raz jeszcze to z pokładu naprawdę zobaczyć,
zbliżając się do ziemi marzeniem wysnutej —
Ale jakże wam gorżki mój żal wytłumaczę?
Tak trudno przecież w słowach wylać cały smutek.

O, wy cieniste, chłodne ze wschodnich wybrzeży,
którym księżyc w koronach srebrnie się kołysze —
nie wiem, czy mnie pojmiecie — czy zechcecie wierzyć,
że ktoś smutny i chory tak stąd do was pisze.

I nie wiem, czy mnie znacie, czy coś wiecie o mnie
i czy gdzieś jakaś poczta przyjmie takie listy.
Lecz nie mogę zapomnieć. Nie umiem zapomnieć,
O proste, mocne, szorstkie, wysokie, strzeliste.



Na fali czasu

JAK BIEDA — TO DO ŻYDA.

Od dłuższego czasu obserwujemy rozgrywki polityczne w Grecji. Naród dzieli się na trzy stronnictwa. Między stronnictwami dochodzi do częstych walk, które wprowadzają zamęt w kraj.

Obecnie król grecki Jerzy rozpisał wybory do parlamentu. Teraz dopiero rozpętała się silna agitacja. Chcąc uzyskać jak najwięcej głosów, postanowiły wszystkie partje wciągnąć na swe listy Żydów — i w ten sposób zachęcić ludność do głosowania. Wszyscy przywódcy i działacze afiszują się swym filosemityzmem, wygłaszają pochwały na cześć anrodu żydowskiego.

Ciekawe to rzeczywiście, że te same partje, które przedtem poprzez antysemityzm chciały dojść do władzy, obecnie piszą w gazetach o swej niezłomnej przyjaźni dla narodu żydowskiego. Tak to wykorzystują sobie przyjaźń i nienawiść do naszego narodu.

Gazety doniosły

O ZGONIE RUDYARDA KIPLINGA,

ojca literatury „zwierzęcej". Odszedł twórca nieśmiertelny Kima i Mauli'ego, nie będzie więcej zaglądał w dżunglę i odwiedzał swych przyjaciół z góry narad. Był wielkim pisarzem angielskim — i chociaż twórczość jego była wybitnie angielska, to jednak dla całego świata posiada znaczenie. Nikt nie zdołał tak wiernie odmalować życie dżungli indyjskiej i świata indyjskiego, jak on. Nikt nie spojrzał w duszę zwierzęcą głębiej od niego. Szkoda, że go już między nami niema.

Arabowie wystosowali ostatnio

MEMORJAŁ z 3-ma ŻĄDANIAMI

do ministra kolonij:

1) ustanowienie rządów demokratycznych,
2) zakaz emigracji żydowskiej,
3) zakaz sprzedawania gruntów Żydom.

Wyniki tego memorjału są już widoczne. Spełnieniem pierwszego żądania ma być Rada Ustawodawcza, drugiego zaś — podniesienie kapitału potrzebnego do aliji kapitalistów — do 2000 Ł. A teraz idzie najgorsze: Projekt zakazu kupna ziemi u fellacha, posiadającego poniżej 100 dunamów.

Anglja chce teraz wykazać, że Arabowie są siłą, i dlatego też krzywdzi organizację sjonistyczną, czyniąc ustępstwa na rzecz Arabów.

Tego wymaga ostatnia jej polityka.

W Hajfie została otwarta nowa

HUTA SZKŁA

pod firmą „Fenicja". Posiada trzy olbrzymie piece i może dostarczać materjału w wielkiej ilości, stoi bowiem na wysokim poziomie technicznym. Wszystkie kapitały inwestowane w tę hutę są całkowicie żydowskie. Przedsiębiorstwo to ma widoki pomyślnego rozwoju, a produkty mogą znaleźć zbyt nietylko w Palestynie, ale na całym Bliskim Wschodzie.

W parze z tem idzie pomyślny zwrot w przemyśle palestyńskim spowodowany

ZAPROWADZENIEM CŁA OCHRONNEGO.

Obce towary będą obecnie w Palestynie droższe od krajowych, wobec czego wyroby palestyńskie nie będą już więcej usuwane w kąt przez dumping obcych państw. Po długich i ciężkich cierpieniach przemysł palestyński uzyskał ten niezbędny warunek rozwoju.

NOWOCZESNY HANDEL NIEWOLNIKAMI.

Sprawa Żydów niemieckich stoi coraz gorzej. „Niepożądanych" tych obywateli nie chce Trzecia Rzesza wypuścić zadarmo. Chce ich najzwyklej sprzedać — jak za dawnych dobrych czasów sprzedawano niewolników.

Gdy Żydzi amerykańscy, angielscy i niemieccy wpłacą 15 miljonów dolarów, wówczas gotowa jest wypuścić ich — nie wszystkich! — jedynie w liczbie 100.000 wraz z majątkiem — w towarze, a nie w pieniądzach. Znaczy to używać wyrobów niemieckich, czyli łamać bojkot. Piekielny pomysł. Na imię mu — T r a n s f e r.

PATRZĘ NA ZWIERZĘTA

(Na marginesie P. Eipera: Zwierzęta patrzą na ciebie)

„Ilekroć razy znajdę się w pobliżu zwierząt, szczęśliwy jestem i zadowolony. Pochód mrówek przez las, czubata wierzba na piaszczystych dimach, płócienna stajnia wędrownego cyrku, pies, czy kot, one to wiodą mnie drogą, a jakże często pytają mnie ludzie: Cóż pan robi każdego ranka w zoologicznym ogrodzie; to przecież raz wreszcie musi się znudzić? Dlaczego właśnie tam kieruje pan pierwsze kroki, znalazłszy się w obcem mieście?

Cężko, a zarazem bardzo łatwo jest znaleźć odpowiedź na to pytanie: Patrzę na zwierzęta!" — tak zaczyna się książka Pawła Eippera, mistrzowskie studjum duszy zwierzęcej. Paweł Eipper sam stawia świadectwo o sobie: Jest bezwzględnym miłośnikiem zwierząt, co więcej — jest psychologiem zwierząt. W jego mądrych oczach przebija dobroć i zrozumienie dla małego szympansa, czy litość dla płaczącej Pessek orang-samicy, czy wreszcie miłość do kochanego koźlęcia guanaco. Jakże szczerze i żywo wybucha śmiechem na widok rozkosznych figlów oranga-dziecka, w jaki smutek znowu wpada na widok żałoby słonia afrykańskiego — wszystko przeżywa.

a

Świat zwierzęcy — pełen tajemnic na długo jeszcze nieodgadnionych — to świat zamknięty w sobie. Trudno badaczowi — psychologowi wedrzeć się w głąb skłębionych i skomplikowanych instynktów. Trzeba do tego duszy delikatnej i wrażliwej — a nie każdy się tem poszczycić może. Niejednokrotnie jednak świat ten sam nam odsłania swe prawdziwe oblicze. Okres narodzin, chowu, choroby zwierząt podobny jest bardzo do odpowiednich okresów u człowieka. Jakże niedaleko odszedł człowiek od swych prawzorów! A szczególnie uwydatnia się to u człekokształtnych małp. „Wrażenia niesamowite... Siedziały oto najbardziej niesamowite zwierzęta świata, wzruszające do głębi swem podobieństwem do ludzi, giganci prawieków, spowici w rdzawo czerwone opończe sierści o czarnych, olbrzymiej długości rękach, o szlachetnym wyrazie mądrych i poważnych twarzy". Takie refleksje snuje autor na widok dwudziestupięciu orangów, sprowadzonych z Sumatry do Europy. I przesuwa się przed nami galerja typów — indywidualności zwierzęcych. Jakżeż różne są one dla oka wytrawnego badacza!

„W odległości dwu piędzi od mej głowy siedzi czarny szpak, świergoce i — patrzy na mnie czarnemi perłami swych oczu!" — Powieść- studjum skończona.

Uroku książce dodają wspaniałe zdjęcia,

TOMASZ ALVA EDISON

Tkwiła w nim niespożyta siła i moc, jaka charakteryzuje wszystkich ludzi czynu. Ona to nie pozwala spocząć i poprzez trudy prowadzi od zwycięstwa do zwycięstwa. Obce mu były wygody i „umiarkowany tryb życia". Gnał tylko naprzód, naprzód.

Tomasz Alva Edison urodził się w roku 1947. Ojciec jego często zmieniał miejsce zamieszkania, a malec liczył 7 lat, gdy zamieszkali na stałe w Port Huron.

Po trzech miesiącach nauki w szkole uznał edukację za skończoną. Nie chciał znosić sztucznych systemów, jakiemi posługiwała się szkoła. Matka — nauczycielka nie sprzeciwiała się. Edison rozpoczął więc pracę nad sobą, jako samouk. W 12 roku życia czytał już z ojcem wielkie dzieła Newtona, których jednak żaden z nich nie rozumiał. Ale mały posiadał już wtedy umysł badacza i nie omijał żadnej rzeczy, która go interesowała. To też rozpoczął systematyczną naukę.

Podstawą jego studjów był podręcznik fizyczny. Przedmiotem eksperymentów był młody ich służący.

Razu pewnego Tomasz wpadł na pomysł. Nakarmił służącego proszkami Seidlica, sądząc, że chłopak napełniony gazem uniesie się w powietrze. Efekt był prosty: — chłopak rozchorował się, a Tomasz dostał w skórę.

A po jakimś czasie za zaoszczędzone pieniądze założył sobie w piwnicy laboratorjum, w którem spędzał wolne chwile.

Coraz poważniejsze eksperymenty wymagają coraz większych wydatków. To też musi zarabiać. Otrzymawszy pozwolenie od rodziców — zostaje sprzedawcą gazet. W pociągu sprzedaje gazety — na linji Port Huron- Detroit. Otworzył też dwa stragany, nazywając je z dumą sklepami. Wszystkiemu zaś towarzyszą badania i wynalazki.

Pewnego razu zapanowało w Detroit wielkie poruszenie na wieść o bitwie pod Schiloh. Edison nadał depeszę do wszystkich stacyj, które mijał i prosił o wypisanie komunikatu na tablicach peronowych. Zainteresowana publiczność kupowała gazetę po wyższej cenie i wysprzedał tak cały zapas. Przekonał się przytem, jak żądna sensacji jest publiczność. Poznał też olbrzymie znaczenie telegrafu.

Zawarłszy znajomość z konduktorem, zakłada sobie laboratorjum w wagonie bagażowym.

W tym też czasie rozpoczyna wydawnictwo własnego pisma pod nazwą „Weekly Herald". Sam był jej redaktorem, reporte-

rem, zecerem, i sprzedawcą. Mimo licznych zajęć, związanych z tą pracą, znajduje czas na doświadczenia z chemji i fizyki. Częste odwiedziny u telegrafisty dają mu możność skopjowania aparatu telegraficznego i znaków Morse'go. Obeznawszy się z jego strukturą, zbudował własny aparat pomiędzy mieszkaniem swojem i przyjaciela.

Zdarzyło się raz, że w wagonie, w którym znajdowało się laboratorjum — wybuchł pożar. Z trudem udało się konduktorowi stłumić ogień w zarodku, a całą winę zwalił na laboratorjum, które też w jednej chwili znalazło się za oknem. Małego zaś chemika pobił dotkliwie.

Edison nie zraził się jednak. Począł szukać pewniejszego miejsca na laboratorjum.

c. d. n.

Poznajmy się!

G O Ś Ć

Zwykły poniedziałek.

A u nas w lokalu jest ruch nie do opisania. Przyjechał odwiedzić nas pracownik ruchu.

Dolek jest w Tarnowie. Z wielką radością podajemy wieść tę z ust do ust. Toć Dolek będzie z nami, opowie nam coś z naszego ruchu, i my też mu coś opowiemy. Będzie dobrze!

Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że już przestąpił próg naszego lokalu. Już jest w sąsiednim chederze.

— Bujda — mówią jeszcze niektórzy z niedowierzaniem.

Minęło kilka chwil, gdy wszedł do nas, witamy śpiewem. Śpiewem z serca — do serca. Usiadł sobie koło nas i śpiewał z nami razem. Potem się wypytywał, jak idzie praca w gdudzie trzecim, Opowiadaliśmy mu obszernie, poczem on skolei opowiadał o życiu gdudu Ceirim w Krakowie, co no nas oczywiście bardzo interesowało. Później znów śpiew, a potem — gość nas opuszcza.

Ukradkiem wchodzi za nim cała nasza kwuca, do sąsiedniego lokalu. Tam właśnie — gdud drugi. Tu dopiero zaczęła się rozmowa — że aż hej! Mówił o wszystkich problemach, które i nas tak bardzo zajmują. O rozwoju gniazda tarnowskiego, o ciężkich chwilach, o momentach upadku — i o tem, jak jest teraz. Przecież zwyciężyliśmy i dalej będziemy zdobywać nasze placówki.

Tylko nam się przykro zrobiło, że z nami się tak nie rozmawia. Widocznie nie jesteśmy jeszcze dojrzałymi członkami.

Ale za rok — zobaczycie sami!

Zalmek B. — „Neszer"
Tarnów.

L E C Ą   T R Z A S K I

Z chederu dochodzi gwar. Słychać stuki i śpiew. To spewnością zazął się warsztat stolarski, do którego z takim zapałem zabrali się nasi chłopcy.

Już na progu wita mnie przeraźliwy hałas: „Do djabła! Oddaj motek i obcęgi". W innem miejscu siedzi okrakiem „okularnik" i zawzięcie hebluje, wióry lecą w powietrze, aż hej!

I dziewczęta nie stoją z założonemi rękami, i one pracują. Jedna siedzi na desce i służy za ciężar do przytrzymywania by deska się nie chwiała przy heblowaniu. Inna znowu dobiera się do hebla, ale szybko opuszcza zmęczone ręce.

Gdzieś w kącie tłumaczy ktoś: Już zrobiliśmy ławkę i sanki plutonowe, gdy warsztat będzie gotowy, to zobaczysz, jak pójdzie robota.

Koło pieca stoją dyżurni z zatroskanemi twarzami. Spoglądają na siebie: Jak się to też posprząta?

Jona, Kineret

Nowy Targ.

Płonie ognisko

Z OPOWIADAŃ MŁODEGO ŁAZIKA

COFIJÓWKA PISZE GAZETKĘ

Odwilż nastała w Cofijowie. Patrolowy Menciu i jego kwuca, znudzeni — że to skautingu „uprawiać" nie można, ani na wycieczki chodzić — postanowili wprowadzić jakąś inowację w życie kwucy. A trzeba wiedzieć, że miasto nasze z dnia na dzień się coraz bardziej cywilizuje i gwałtownie wzrasta ilość inteligentnych.

— Co się nam lepiej może przysłużyć od ściennej gazetki? — zaczął swą długą mowę do kwucy patrolowy Menim — ...czyli, piszemy gazetkę — zakończył.

Chłopcom nie trzeba było powtarzać tego dwa razy.

Jak pisać, to pisać. A przedewszystkiem to redakcja. Ale, o mało, a zapomniałbym o redakcji. Uwaga! Naczelnym redaktorem został sam wielki Menciu. Redaktorem odpowiedzialnym Josiu, zastępcą Piniu. Kierownikiem działu publicystyki został Iciu, pomocnikiem Towuś. Inseratami zajmuje się Iziu, sprawozdawcą prasowym jest Klocuś, drukarzem odpowiedzialnym, naczelnym, jedynym — Klipciu, czytelnikiem zaś Hesiu.

— Co robisz Josiu? — pytam pochylonego nad szufladą, i gorączkowo szperającego redaktora odpowiedzialnego.

— Jakże, co? — powiada — szukam, powiem ci w tajemni-

cy, najstarszego „Płomyka", o n i pewnie go nie znają, odpiszę artykuł jakiś; powiem, że to mój i dam do naszej gazetki....

Po tygodniu ukazała się gazetka ścienna. Czarno na białem było: „Gazetka ścienna Cofijówki, napisana przez nią samą".

I patrzcie, co za pech. Hm. Wszyscy odpisali z tego samego, najstarszego „Płomyka" i...

Iciu oskarżał tedy Pinia o plagjat, Piniu — Josia, Josiu — Izia, Iziu — Klipcia, a Klocusia — Towuś. W końcu wszyscy się pobili, potargali gazetkę, a strzępy wyrzucili.

Po dwuch tygodniach ukazał się drugi numer „Gazetki ściennej itd.". Już nie był odwalony, zato pływał po wodnistych górnolotnych wyrażeniach, z których nikt n. b. nie zmądrzał, a zdaje się, że nikt nawet nie zgłupiał. Bo czy mogąże jeszcze Cofijanie zgłupieć?

Chaim.

Hallo, tu redakcja!

...a raczej administracja

Niniejszym numerem podwójnej objętości, zamieniamy nasz abonament z kwartalnego na miesięczny. Warunki nowego abonamentu zostały szczegółowo omówione w cyrkularzu „Ceirim" i zwracamy się tą drogą do wszystkich naszych abonentów z prośbą o zastosowanie się do nowych warunków. Reformę tę wprowadziliśmy, by ułatwić wywiązywanie się z obowiązków. Sądzimy, że obecnie nie zaistnieją żadne przyczyny, któreby spowodowały jakiekolwiek zadłużenie. Powtarzamy więc za ostatnim cyrkularzem, że należność za ten numer wyrównać należy najdalej do dnia 25 bm., zaś przedpłatę za miesiąc marzec — do dnia 6. III.

Przyrzekamy wszystkim naszym gniazdom energicznie zabrać się do rzeczy i — nie wysyłać numeru tam, gdzie należności nie są naczas uiszczane. Niezbyt miło nam jest uciekać się do tego sposobu, lecz nie możemy dłużej tolerować niedbalstwa tembardziej, gdy ono stanowi niebezpieczeństwo dla naszego wydawnictwa.

„Ceirim".

Numer obecny rozsyłamy jedynie do referentów „Ceirim" w naszych gniazdach. Jest on przeznaczony wyłącznie do rozsprzedarzy pojedynczej w cenie 30 gr. Wyjątek stanowią jedynie ci aboabonenci, którzy wpłatę na V. k w a r t a ł uskutecznili i którzy otrzymają numer ten, jak zwykle.

Administracja „Ceirim".

Wydawca: Związek Skautowej Młodzieży Żydowskiej w Krakowie.
Redaktor odpowiedzialny: Ignacy Nichthauser.

Drukarnia Pospieszna pod zarz. A. Lehrhafta, Kraków, ul. Karmelicka 34.